

WOMAN DOWN

*Kobieta
na dnie*

COLLEEN
HOOVER

PEŁNA NAPIĘCIA I POŻĄDANIA POWIEŚĆ
AUTORKI BESTSELLERÓW IT ENDS WITH US I VERITY



**WOMAN
DOWN**

COLLEEN
HOOVER

WOMAN DOWN

*Kobieta
na dnie*

TŁUMACZENIE PIOTR GRZEGORZEWSKI



OTWARTE
KRAKÓW 2026

Tytuł oryginału: *Woman Down*

Text copyright © 2026 by Colleen Hoover.

All rights reserved.

COLLEEN HOOVER® is registered in U.S. Patent and Trademark Office

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2026

Copyright © for the translation by Piotr Grzegorzewski

Opieka wydawnicza: Natalia Karolak

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adaptacja makiety na potrzeby wydania: Agnieszka Gontarz

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Promocja i marketing: Katarzyna Matczuk

Cover design by Caroline Johnson

Adaptacja okładki na potrzeby wydania: Maria Miłoś

Fotografie na okładce: kobieta – © Larysa Vdovychenko / iStock by Getty Images,
szkło – © Sviatlana Barysevich / iStock by Getty Images

Fotografia autorki: Callynth Photography

ISBN 978-83-8399-086-6

Książka jest dziełem fikcyjnym. Imiona, postacie, organizacje, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki lub zostały użyte fikcyjnie. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń albo osób żywych lub martwych jest całkowicie przypadkowe.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla Lauren Levine.
Bez ciebie nie byłoby tego wszystkiego.*

Drodzy czytelnicy,
niektórzy z was być może pamiętają opowiadanie *Saint* zamieszczone lata temu w antologii *One More Step*. Ci z was, którzy go nie znają, wkrótce poznają je w znacznie obszerniejszej formie.

Wspomnianej antologii nie ma już od dawna na rynku, ale niektórzy z was nie przestawali prosić o więcej. Jakimś cudem zachowaliście ten krótki utwór w sercach, mimo że nie był oficjalnie dostępny. Dla mnie jako pisarki nie ma większej inspiracji niż czytelnicy domagający się rozwinięcia losów stworzonych przeze mnie postaci.

Sama chciałam dać tym postaciom przestrzeń, na jaką zasługiwały, i rozbudować świat zaledwie naszkicowany w opowiadaniu.

Wzięłam więc ten znany niektórym z was tekst i włożyłam całe serce w jego rozwinięcie.

Od wydania *It Starts with Us* do publikacji książki, którą macie przed sobą, upłynęły trzy lata. Nie dlatego, że przez cały ten czas przerabiałam *Saint* – próbowałam też nowych rzeczy poza pisaniem. Szczerze mówiąc, potrzebowałam chwili odpoczynku

od kariery, która stała się dla mnie bardziej stresująca niż zwykle.

Ale to wszystko się zmieniło, gdy tylko wróciłam do tej historii. Praca nad książką przywróciła mi radość, jaką czułam, gdy pisałam oryginalne opowiadanie. Zmieniłam tytuł oraz nazwiska niektórych bohaterów, dodałam sceny i miejsca, wprowadziłam nowe postacie i zmieniłam kilka innych, gdzieś tam umieściłam też zwroty akcji, na które nie było miejsca w krótszej formie. Zależało mi na tym, żeby ci z was, którzy już znali tę historię, dostali całkowicie inną i nową książkę, zachowującą fabułę i ton oryginalnego opowiadania. Nadawanie mu nowego życia przynosiło mi ogromną radość.

Pamiętajcie tylko, proszę, że nawet jeśli pisarze inspirować się własnym doświadczeniem i niektóre motywy tej książki przypominają wydarzenia z mojego życia, nie jest ona w żadnym razie odzwierciedleniem mojej drogi życiowej czy wyznawanych przeze mnie wartości. Ta powieść nie mówi też niczego o moim osobistym stosunku do koleżanek i kolegów po piórze czy w ogóle branży. To po prostu radosna wyprawa, w którą zabrały mnie moje postacie – nic więcej. Błagam, nie próbujcie wiązać mojego życia osobistego z tą opowieścią, bo nie ma między nimi żadnych powiązań. Jestem po prostu pisarką, która napisała powieść o pisarce – w żaden sposób nie popieram ani nie bronię jej przemyśleń czy postępowania.

Nadawanie opowiadaniu nowego wymiaru sprawiło mi prawdziwą radość. Mam nadzieję, że jesteście gotowi na zawroty głowy i będziecie się cieszyć tą zabawną, seksowną, a czasami również przerażającą jazdą!

Z wyrazami miłości,

Colleen Hoover

ROZDZIAŁ 1

– Hej, hej! Tu Kellie, wasza terapeutka od fikcji literackiej z dodatkową specjalizacją w bałaganiarstwie. Witajcie ponownie w *Co dalej, czytelnicy?* – podcaście, w którym wasze ulubione książki są przez nas analizowane i lekko grillowane.

– Ja zaś jestem Micah, wasz somellier plotek literackich, a czasem też telewizyjnych.

– Sommelier? – Kellie się śmieje. – Przecież ty nawet nie pijesz wina.

– Komu potrzebny alkohol, skoro można się upić bzdurami, które dziś dla was przygotowaliśmy?

– Uwielbiam, kiedy jesteś taki sarkastyczny.

– To coś więcej niż sarkazm, to taktyka spalonej ziemi. Naszym dzisiejszym tematem jest Petra Rose, ulubienica klubów książki i Tumblra, której reputacja właśnie stanęła w literackich płomieniach.

– A jeśli jakoś wam to umknęło podczas scrollowania albo, nie wiem, oddychania, wiedźcie, że cały internet zaatakował tę niegdyś uwielbianą pisarkę. I to naprawdę zajadle.

– Zdecydowanie. Przypomnijmy, że Petra jest autorką międzynarodowego bestsellera *Coś okropnego...* – mówi Micah.

– To prawdopodobnie najgorszy tytuł książki w dziejach literatury... – przerywa mu Kellie.

– Zgadza się – przyznaje Micah. – Zupełnie jakby sama się prosiła o negatywną reakcję, wręcz o nią błagała. Tak czy owak powieść wywołała niekończące się debaty między #TeamAsh a #TeamCaleb i znalazła się w oku fandomowego cyklonu popularności. Aż nagle z niego wypadła. Kellie, zechcesz pokrótce podsumować tę sytuację, zanim powitamy naszego gościa niespodziankę?

– Z tym „pokrótce” może być problem, ale z przyjemnością. Dla tych z was, którzy nie mają o niczym pojęcia, cofnijmy się do początku. *Coś okropnego* nie jest wcale okropną książką, przynajmniej według normalnych czytelniczych standardów. To przejmująca i pięknie skonstruowana powieść o Elise i jej czasami zabawnych przeprawach z miłością, traumą i tożsamością. Realistyczny romans, w którym jest odrobina wszystkiego, i aż dziwi jego popularność, zwłaszcza że nie ma w nim smoków ani magów. Ale właśnie o to chodzi, że to nie tylko tanie, seksowne romansidło. Ta książka wyróżnia się przede wszystkim wspólnie rozwiniętymi postaciami i moralną niejednoznacznością. To po prostu fanfikowe ZŁOTO.

– Dobra, chyba już wszyscy załapaliśmy, że bardzo ci się podoba. Do brzegu.

– To była kiedyś moja ulubiona książka – przyznaje Kellie.

– Dalej może nią być – zauważa Micah.

– Nie po czymś takim. No dobra, mamy więc trójkąt miłosny: Elise, Asha i Caleba. Jeśli nie spędziliście ostatnich pięciu lat w dżungli, to musieliście widzieć choć jednego mema z Ashem i Calebem. Cały internet był pełen dyskusji na temat pełnej emocji walki między nimi. Tyle że potem powstała adaptacja filmowa.

Micah jęczy.

– Nazywanie tego adaptacją to naprawdę przesada.

– Ale to była adaptacja. Do tego z potencjałem i solidnym budżetem. Wielu ludzi jej oczekiwało, choć wytwórnia i autorka

zachowywały dziwną dyskrecję w tej sprawie. Nie pojawiły się nawet informacje o obsadzie, poza dwiema głównymi postaciami. Ani słowa o powszechnie uwielbianym Calebie. Nie było go nawet w zwiastunie. Po prostu zniknął. Już sam jego brak w trailerze o mało nie wywołał wojny. Ale chociaż na TikToku szybko pojawiły się wątpliwości, ludzie i tak pobiegli do kin.

– Te wątpliwości pojawiły się też w naszym podcaście. Nie było dnia, żebyś o tym nie wspominała.

– Zgadza się, też byłam w drużynie Caleba. W każdym razie WYCIĘLI go. Właściwie to wycięli cały trójkąt i zmienili fabułę tak, żeby dotyczyła jedynie Asha i jego związku z Elise. Fani nie przyjęli tego najlepiej. Nawet ci z drużyny Asha, bo niby co mieli zrobić z tymi wszystkimi gadżetami #TeamAsh, które wcisnęła im autorka? Koszulka z tym napisem nagle zaczęła sugerować, że kibicujesz Ashowi, a nie Elise, a przecież Elise kibicowali wszyscy. Drużyna Asha przestała mieć sens po tej okropnej ekranizacji. Zdradzono nas, Micah. WYROLOWANO.

– Tak, to była zdrada typu „wyję na deszczu, oblewając się czerwonym winem”.

– Nie wracajmy do tamtego wieczoru. Poniosło mnie.

Oboje wybuchają śmiechem.

– Dobra – podejmuje Kellie. – Wszyscy wiemy, jak działa Hollywood i że większość autorów nie ma nic do powiedzenia w kwestii tego, jak wyglądają adaptacje ich książek. Kiloro szczęściarzy miało na to być może jakiś wpływ, ale w większości przypadków nic nie zależy od pisarzy. Petra początkowo też obrała klasyczne podejście i prosiła, żeby jej o to wszystko nie obwiniać. Na jej insta pojawił się post w stylu: „Witajcie, kochani, nie miałam nad tą adaptacją żadnej kontroli twórczej. Byłam nią tak samo zszokowana jak wy”.

– I szczerze mówiąc, byliśmy gotowi jej uwierzyć – przypomina Micah. – Przez jakieś pięć sekund. Dopóki – tadam! – nie wyciekły jej esemesy do jednego z producentów. Okazało się, że nie tylko wiedziała o zmianach, ale jeszcze jej się podobały.

- Przypomnisz, co w nich pisała?
- Już czytam: „Masz rację, ludzie często mówią, że to nierealistyczna postać. Nie mam nic przeciwko temu, żeby ją wyciąć. Może bez Caleba i trójkąta ten film będzie mocniejszy?”.
- Zdanie o „mocniejszym filmie bez Caleba” sprawiło, że ludziom odbiło – wspomina Kellie. – MOCNIEJSZY? Nie można ot tak wymazać połowy fandomu i nazwać tego porządkami!
- Reakcja była natychmiastowa – przyznaje Micah. – TikTok, Reddit, X, dawniej Twitter, ale bądźmy szczerzy, to wciąż Twitter – wszędzie zaroiło się od hashtagów #SkasowaćPetrę, #OkropnaAdaptacja i #OkropnaAutorka. Co tylko potwierdza, że był to okropny tytuł, zbyt łatwy do wykpienia.
- Najłatwiejszy. Pojawili się nawet fani, którzy spalili swoje egzemplarze książki. Totalna literacka rebelia. Ludzie poczuli się osobiście zdradzeni, ja zresztą też. Zostaliśmy okłamani. Autorka wybrała branżę zamiast bliskości, dzięki której jej książka miała znaczenie, i zamiast fandomu, który zrobił z niej gwiazdę. Wymazała wszystko, co sprawiło, że pokochaliśmy jej powieść. A potem zwała winę na kilka krytycznych uwag, które do niej dotarły, chociaż setki tysięcy czytelników dalej ją chwaliły.
- Twoja przemowa była prawie tak dobra jak monolog Caleba z rozdziału dwudziestego ósmego.
- Nawet o tym nie wspominaj, Micah, bo ci się tu zaraz rozpłaczę.
- Wybacz, Kellie. Ale to był naprawdę wspaniały monolog. Jeśli słucha nas teraz ktoś z Hollywood: ŚWIETNIE BYŁOBY ZOBACZYĆ GO KIEDYŚ NA DUŻYM EKRANIE!
- Zapomnij, nie słucha nas nikt z Hollywood. Mamy dwa tysiące subskrybentów.
- Dwa tysiące lojalnych słuchaczy, których nigdy nie zdradziłibyśmy tak, jak Petra zdradziła swoich czytelników.
- I zobacz, jak to się dla niej skończyło. Skoncentrowała się na kilku uwagach bez znaczenia, przez co odwrócili się od niej

nawet najwierniejsi fani. Wszystkich nas wyrolowała do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy Petra Rose w ogóle wierzy w swoje postacie, czy może po prostu wstydzi się tego, co pisze.

– Faktem jest, że zamilkła. Przez rok ani jednego wpisu w socialach, nie licząc jej własnego fanklubu.

– Który podobno się kurczy. Trudno mi to potwierdzić, bo wypisałam się z niego pół roku temu.

– Miejmy nadzieję, że ta cisza jest znakiem, że Petra uczy się, jak pisać fabuły, w które naprawdę wierzy. Choć i tak jest to dziwne, jeśli pamiętamy, że jej fani dosłownie tatuowali sobie cytaty z jej powieści.

– A propos, widziałam ostatnio parę filmików, na których usuwają te cytaty.

– Smutne. Kiedyś ją cytowaliśmy, a teraz jej po prostu... nie-nawidzimy.

– „Nienawiść” to mocne słowo.

– To uczciwy podcast.

– Racja. Nienawidzimy jej. Tak bardzo, że pociągnęliśmy za milion sznurków i przełożyliśmy trzy inne spotkania, żeby zaprezentować wam dziś rozmowę z naszym gościem niespodzianką. Sama nie jestem pewna, dlaczego zgodził się wystąpić w naszym skromnym podcaście, ale szalenie się z tego cieszymy. Być może uda nam się dzięki temu dobić do dwóch tysięcy i jednego subskrybenta.

– Warto celować wysoko. Panie i panowie, zapraszamy was na rozmowę z samym Allisterem Jonesem, producentem ekranizacji *Coś okropnego*.

– Wciąż nie do końca wybaczyliśmy mu tę adaptację, ale szanujemy, że znalazł w sobie odwagę, żeby z nami porozmawiać.

– Dziękuję bardzo, że mnie zaprosiliście – odzywa się Allister. – Naprawdę nieźle podsumowaliście tę całą sytuację.

Ja. Pierdole.

Co za typ.

Wyłączam audycję, gdy tylko słyszę jego głos. Moje serce wali jak szalone, w żołądku trwa rewolucja. Muszę zjechać na pobocze, bo zaraz zwymiotuję.

– Jezu... – Moje palce drżą na kierownicy. Szukam po omacku na drzwiach przycisku do opuszczania szyby. Kiedy tylko udaje mi się wystawić głowę na zewnątrz, wdycham głęboko pachnące sosnami powietrze i zamykam oczy, spowalniając oddech, aż wreszcie czuję, że żołądek mi się uspokaja.

Nie do wiary, że naprawdę myślałam, że terapia ekspozycyjna mi pomoże.

Słuchanie tego podcastu było najgorszym, co mi się przytrafiło od czasu, gdy wyciekły moje esemesy do Allistera.

Otwieram oczy i opieram głowę o zagłówek. Robię kilka głębokich wdechów, próbując nie myśleć o tym, że Allister jeździ po podcastach i udziela się w mediach, a ja jestem zmuszona do siedzenia w jakimś obskurnym domku i pisanie książki, którą próbuję skończyć od czasu tej wielkiej filmowej katastrofy. I robię to tylko po to, żeby nie stracić domu po tym, jak sprzedaż moich książek gwałtownie spadła.

Nie zrobiłam nic złego – powtarzam to sobie w myślach, gdy wracam powoli na drogę. Nie jestem taka, jak ludzie sobie wyobrażają.

To moja mantra od czasu, gdy Nora wymusiła na mnie powtarzanie tego zdania pięciokrotnie w ciągu dnia. Tym razem jednak mam poczucie, że to nieprawda i nie przynosi mi to oczekiwanego uspokojenia ani gotowości do działania.

Od kiedy się to zaczęło, nie funkcjonuję jak trzeba. Czuję się jak oszustka. Jakby wszystko, co dotąd udało mi się zbudować, legło w gruzach i nikomu nie chciało się nawet ich przekopać, żeby sprawdzić, czy się pod nimi nie udusiłam. Jedyne, co wszystkich interesowało, to kto pojawi się na moim pogrzebie.

Sama się nad tym zastanawiam. Mam rodzinę i przyjaciół, którzy na pewno by się na nim stawili, ale zdaję sobie sprawę, że moi „przyjaciele” ze świata wydawniczego, których poznałam

w ostatnich latach, w ogóle nie zasługiwali na to miano. Nie licząc Nory, wszyscy zaczęli mnie unikać. Nie winię ich za to. Widzą, że moja reputacja zniszczyła sprzedaż moich książek, więc jakiegokolwiek publiczne poparcie mogłoby przynieść wzburzenie na TikToku, które z kolei zniszczy sprzedaż ich tytułów. Tak właśnie wygląda kariera w tej branży i choć zawsze miałam nadzieję, że ludzie, których na tej drodze poznałam, będą też moimi przyjaciółmi bez względu na wszystko, zaczyna do mnie powoli docierać, że wszyscy jesteśmy nieszczęśliwymi wyrobnikami, próbującymi dotrzeć do emerytury.

Siedzę za kółkiem już ponad dwie godziny, białe linie na drodze stają się bezkresną wstęgą pod oponami. Wciąż nie jestem pewna, czy bardziej zależy mi na odosobnieniu, które oferuje domek, czy ucieczce przed chaosem świata. Zawsze chyba powoduje mną mieszanina aspiracji i rozpacz. Ale jeszcze nigdy nie czułam aż tak silnej potrzeby ucieczki od realnego życia, zrzućcia skóry i rozpoczęcia nowego etapu. Moim największym pragnieniem jest rzucenie się na głęboką wodę pisania tej książki, zanurzenie się w niej do tego stopnia, że nikt i nic z realnego świata nie będzie w stanie przebić się przez mury mojej fikcji.

Jestem naprawdę krańcowo wzburzona, a pisanie to jedyna rzecz, która potrafi to załagodzić.

Mogę mieć tylko nadzieję, że zadziała również tym razem. Wiem, że to nagłące poczucie, ta rozpaczliwa wiara w możliwość odkupienia nie opuszczą mnie, dopóki nie dotrę do domku i nie zaangażuję się w to bez reszty.

Blokada twórcza spadła na mnie dokładnie wtedy, gdy moje nazwisko zaczęło pojawiać się w artykułach, które nie dotyczyły spraw literackich.

Okrutna ironia losu, prawda? Marzenie o wielkiej popularności nagle staje się koszmarem.

Telefon wibruje w uchwycie na kubek, jego ekran rozbłyska kolejnym powiadomieniem, zwiększając mój stres. Gdy zaczęły

się złośliwe komentarze, wyłączyłam powiadomienia z mediów społecznościowych. Cyfrowy świat, kiedyś służący komunikacji, stał się bezlitosnym przeciwnikiem, a jedynym sposobem, by go uciszyć, jest całkowite odcięcie się od niego.

Teraz jedyne powiadomienia, jakie dostaję, pochodzą od tych, którzy chcą porozmawiać ze mną, a nie o mnie.

Uspokajam się, widząc imię Nory na ekranie telefonu. Przesuwam palcem i przełączam się na tryb głośnomówiący.

– Mam nadzieję, że dzwonisz tylko po to, żeby powiedzieć, że wysyłasz mi więcej Adderralu – rzucam na powitanie.

– Po pierwsze – odpowiada Nora – to nie ty masz ADHD, tylko ja. A po drugie nie potrzeba ci leków, tylko solidnej terapii i porządnego rżnięcia. – Milknie na chwilę. – I to nie przeze mnie. To była sugestia, nie propozycja.

– No ładnie. – Wzdycham. – Tak czy owak zadzwoniłaś w dobrym momencie.

– A co? Kolejny atak paniki?

– Słuchałam *Co dalej, czytelnicy?*

– Petra! Szlag mnie zaraz trafi!

– Wiem – jęczę.

– Dlatego w ogóle dzwonię. Żeby cię ostrzec przed dzisiejszym odcinkiem.

– Ale to ty mówiłaś, że terapia ekspozycyjna będzie dla mnie dobra. Więc się wyeksponowałam.

– Miałam na myśli powrót do sociali. Napisanie posta. A nie to, że masz słuchać każdego, kto bredzi o tobie jakieś bzdury. Jezu... Jestem twoją przyjaciółką, nie szatanem.

– Czyli słuchałaś?

– Wyłączyłam, kiedy pojawił się Allister Zjebany McZjeb.

– Miałam to samo. Musiałam stanąć na chwilę, kiedy usłyszałam, że będzie gościem. Bałam się, że zaraz rzygnę.

– Przykro mi. Jesteś już gdzieś blisko?

– Do celu mam dziesięć minut.

– Wciąż wierzysz, że to dobry pomysł? – Głos Nory trzeszczy w głośniku.

– Dobry? Ja, sama w lesie, próbująca dojść do siebie po tym, jak cały internet nadział mnie na cyfrowy pal?

Wpatruję się w drogę, a sosny wokół mnie rosną i gęstnieją, jakby zamierzały pochłonąć moje auto.

– Wcale nie cały internet – prostuje Nora. – To tylko marginalni krzykacze, na dodatek kierowani finansową zawiścią.

– Ach, no tak. Ludzie grożący mi śmiercią zostali sprawdzeni i uznani za żadnych forsy. Zapomniałam. – Mimo wszystko się uśmiecham.

– Oni cię nie znają. Grozili, że ugotują twojego psa, a ty nawet nie masz psa.

– Właśnie. Więc najpewniej kupię mi szczeniaka, podrzucą na próg z uroczą kokardką, a jak go już pokocham, wtedy go ugotują.

Sygnal zanika na sekundę i głos Nory staje się zniekształcony, po czym całkowicie cichnie.

– Niech to szlag.

Podnoszę telefon i przekładam na deskę rozdzielczą, jakby to miało jakoś poprawić sygnał.

– ... poważnie – Nora wraca w połowie zdania. – To jeszcze nie koniec twojej kariery. Chyba. Mogłabyś napisać błagalny post z przeprosinami i wrzucić na insta razem z serduszkami złożonym z palców albo jakimiś zapłakanymi emotkami.

– Nie będę przepraszać osób, które nie znają całej sprawy, ale i tak zdecydowały się stanąć po jakiejś stronie.

– Jeśli myślisz o ocaleniu kariery, prędkiej czy później musisz wrócić do sieci. Może daj się zaprosić do jakiegoś podcastu i powiedz, co myślisz.

– Wyjdę z dołka, nie zniżając się do poziomu Allistera. Dlatego jadę do tego domku. Żeby pisać, dokonać zemsty piórem.

Długa cisza.

– Przecież... używasz laptopa. Nie pióra.

- „Pióro” brzmiało dobitniej.
- Racja. Zemsta piórem. Opisz całą historię i opublikuj jako fikcję. To będzie dobry wentyl. Zadzwoń do mnie, jak już się urządzisz. Mam pewien pomysł.
- Nienawidzę twoich pomysłów – mówię.
- Ale tym razem jest naprawdę dobry. Słowo.
- Dobra.
- Nie włączaj kolejnego podcastu. Posłuchaj Brudi Brothers czy czegoś. Kocham cię.
- Też cię kocham.

Kiedy kończę rozmowę, podcast automatycznie włącza się z powrotem.

- Nie była najłatwiejsza we współpracy – wyznaje na antenie Allister.

Te słowa oblewają mnie jak wrząca woda lód. Po raz kolejny wyłączam podcast i koncentruję się na zakręcie drogi przed sobą.

- Ty też nie byłeś, Allisterze McZjebie.

Nie jestem osobą, która nienawidzi ludzi, ale Allister jest na szczycie mojej listy. A także na dole. I pośrodku.

Właściwie jest całą tą listą.

Zwalniam, gdy GPS mówi mi, że zbliża się mój zjazd. Gdzieś tam czeka na mnie domek z pustym ekranem, mnóstwem cichszy i, miejmy nadzieję, jakimiś resztkami kreatywności, które udało mi się ocalić.

ROZDZIAŁ 2

Nie wiem, czy ocalę cokolwiek ze swojej kreatywności, jeśli będę miała tu sąsiadów. Zwykle staram się unikać wynajmowania domów z sąsiadami, jednak okazuje się, że przy tej samej drodze co mój wynajęty domek znajduje się drugi budynek.

Przed dokonaniem rezerwacji przyjrzałam się zdjęciom satelitarnym okolicy, żeby się upewnić, że sąsiedztwo nie jest zbyt bliskie. Nie chcę słuchać dziecięcych wrzasków o każdej porze dnia i nocy. Wybrane przeze mnie miejsce zdawało się odosobnione, nie zauważyłam drugiego domu. Być może, gdy robiono zdjęcia, zakrywały go drzewa.

Domek, który wynajęłam, skrywa się na końcu mniej więcej półtorakilometrowej drogi. Do sąsiadów mam jakieś pół kilometra. Trochę mnie to uspokaja.

Preferuję odludzia bez wielkiego ruchu. Łatwo się rozpraszam. Im mniej widzę osób i im rzadziej muszę z kimś rozmawiać, tym łatwiej mi się skupić. Podczas jednego z takich pisarskich wyjazdów poznałam sąsiadów, zanim dotarłam do domku. Była to grupka kobiet, które wybrały się na wspólny weekend. Skończyło się tym, że piłyśmy co wieczór i niczego nie napisałam.

Nie każde rozproszenie uwagi musi być od razu złe, tym razem jednak takie jest, bo zbyt wiele zależy od dotrzymania przeze mnie terminu.

Dlatego głośno wzdycham, gdy widzę na ganku przed domkiem jakiegoś mężczyznę. Żywy, oddychający człowiek na posesji, do której właśnie dotarłam.

Biorąc pod uwagę wszystkie współczesne technologie, nie ma absolutnie żadnego powodu, by człowiek, od którego wynajęłam ten domek, spotykał się ze mną osobiście. A jednak jest tutaj. Nawet go nie poznałam, a już stał się dla mnie najbardziej irytującą istotą na świecie.

A, nie. Cofam to.

To corgi są najbardziej irytującymi istotami na świecie. Jest w ich sylwetce coś... niedokończonego. Zupełnie jakby Bóg chciał stworzyć nową rasę psów, ale porzucił ten pomysł w połowie, zostawiając je w zawieszeniu. Mają za długie tułowy w stosunku do krępych łap, zbyt wielkie łby i wyglądają tak, jakby przy każdym kroku miały zaryć nosem o ziemię. Widząc takiego psa, nie potrafię powstrzymać myśli, że to kosmiczna pomyłka na czterech łapach.

Gdyby u stóp tego gościa pałętał się corgi, uwierzyłabym, że umarłam i trafiłam do piekła.

Facet uśmiecha się tak szeroko, że przez chwilę się boję, że twarz mu pęknie na pół, nie mogąc pomieścić wszystkich zębów. Promieniuje energią osoby, która zamierza się za wszelką cenę przypodobać, tak jakby chciał mi jeszcze raz sprzedać rezerwację, za którą już zapłaciłam dawno temu.

Czemu mam aż tak paskudny nastrój?

A, tak. Podcast.

Parkuję auto, opanowuję grymas na twarzy i sięgam po telefon. Zabieram też klucze z breloczkiem, który kryje w sobie gaz pieprzowy. Jeszcze nigdy nie musiałam go użyć, ale też rzadko przebywam sam na sam z obcymi ludźmi.

Wsuwam pojemniczek do kieszeni, muskając kciukiem kojąco chłodny metal. Znalazłam się w samym środku niczego,

otoczona gęstwiną drzew, które zdają się połykać drogę za moimi plecami i mimo że bez wątpienia poradziłabym sobie z tym gościem, gdyby do czegoś doszło, nie jestem pewna, czy ktokolwiek usłyszałby moje wołanie o pomoc.

Gdzie te niedźwiedzie, kiedy są potrzebne?

Z jego profilu wiem, że nazywa się Louie Longsetter. Co to w ogóle za imię i nazwisko? Dobre dla postaci z sitcomu, a nie dla kogoś, kogo można naprawdę poznać i kto ma prawdziwych rodziców, którzy wypowiedzieli te dwa słowa kiedyś na głos i uznali, że ich połączenie będzie idealne.

Trudno uwierzyć, że ktoś, kto się tak nazywa, mógłby stanowić zagrożenie.

Ale coś w jego postawie – jakby czekał na mnie dłużej, niż planował – zmusza mnie do kwestionowania tego założenia.

Kiedy wyobrażam sobie mordercę o nazwisku Louie Longsetter, trudno mi się nie roześmiać z absurdalności tego pomysłu. Jednak jako kobieta, która przyjechała tutaj spędzić tygodnie w izolacji, nie mogę pozbyć się myśli, że ten człowiek może stanowić zagrożenie. Ta myśl jest niechciana i irytująca niczym kłujący cień wbity w skórę.

– W samą porę! – wita mnie zbyt radośnie, zbyt promiennie, jak honorowego gościa, a nie kolejną najemczynię. Zbiega ze schodków ganku dziwnie sprężystym krokiem i zmierza w moją stronę, emanując niepokojącą gorliwością.

Radośni ludzie z miejsca wydają mi się niesympatyczni, choć sama się za to nie lubię. Wiem, że to moja wada, ale mam ich tak wiele, że szkoda mi czasu walczyć akurat z tą.

– Uroki GPS-u – odmrukuje i z nadmiernym pośpiechem otwieram bagażnik. Może i „Louie Longsetter” nie wydaje się nazwiskiem mordercy, ale jestem całkiem pewna, że był kiedyś seryjny zabójca Piczuszkina, więc wszystko możliwe.

Gospodarz zatrzymuje się obok mnie, sięga do bagażnika i chwytając wielkimi dłońmi moje walizki. Wyciąga je obie i z głuchym łoskotem kładzie je płasko na żwirze.

Krzywię się, zwalczając chęć, by na niego naskoczyć. To walizki RIMOWA – nowe, eleganckie, drogie i jak dotąd pozbawione zadrapań i zarysowań. Dostałam je kilka miesięcy temu w prezencie urodzinowym i używałam ich po raz pierwszy. Ich nieskazitelność budziła we mnie dumę.

Aż do teraz.

Schyłam się szybko i tłumiąc irytację, ustawiam jedną z walizek pionowo.

Nieświadomy niczego Louie naśladuje moje ruchy i ustawia drugą walizkę w pozycji pionowej, po czym zaczyna ciągnąć ją za sobą, kierując się w stronę ganku. Kółka drapią żwir jak paznokcie skrobiające po tablicy, a ja wzdrygam się w duchu, podnosząc swoją walizkę z ziemi, by ją nieść.

– Pani jest tą Petrą Rose, prawda? Tą, co to książki pisze – upewnia się, zerkając na mnie przez ramię.

Tą, co to książki pisze?

Kiwam głową, idąc tuż za nim i próbując przywołać uprzejmy uśmiech.

– Tak jest. Przyjechałam szukać inspiracji. W ciszy – dodaję.

Na tylnym siedzeniu są jeszcze zakupy, które muszę wypakować, ale wolę mu o nich nie mówić. Chcę, żeby już sobie poszedł. Najlepiej, żeby go w ogóle nie było, gdy tu przyjechałam. Po to te wszystkie domy do wynajęcia mają zamki na kod i możliwość bezkontaktowego zameldowania się.

Wchodzimy po schodkach na ganek. Ja wciąż ostrożnie niosę walizkę, żeby kółka nie zarysowały schodów, podczas gdy Louie wlecze drugą za sobą, zupełnie jakby o to nie dbał.

– Nie znam żadnej z pani książek – wyznaje niemal przepraszającym tonem – ale żona twierdzi, że chyba jakąś czytała. – Sięga do kieszeni i wyjmuje pęk kluczy. – Za to widzieliśmy ten pani film i obiecałam żonie, że zapytam, co się stało z tą jakąś tam postacią, co to jej w nim brakuje. Sam nie wiem, o co jej szło. Za to po drodze tutaj wymyśliłem, co by się świetnie nadało na film – dodaje, wręczając mi klucze.

O Boże. Tylko nie to.

– Moje życie – oznajmia, unosząc brew, jakby spodziewał się, że będę pod wrażeniem. – Miałem szalone życie, mogłaby pani na tym zarobić kokosy.

Jestem pewna, że nie.

– Jakby były pani potrzebne jakieś pomysły... – ciągnie, wyraźnie nie rozumiejąc mojej miny.

Wchodzę mu w słowo, rozciągając usta w uśmiechu:

– Niestety potrafię pisać tylko fikcję.

Nie zliczę, ile razy ludzie chcieli mi się spowiadać ze swojego życia, gdy tylko usłyszeli, że piszę. Każdy z nich był przekonany, że jego życie nadaje się na wielką amerykańską powieść.

Może i tak było. Ale to nie ja ją napiszę.

– Myślę, że jakbym pani opowiedział...

– Jeśli to naprawdę takie dobre, powinien pan sam to spisać – przerywam mu, nie chcąc wyjść na nieuprzejmą. – Nikt nie zna lepiej tej historii, a poza tym nie powinno się oddawać swoich pomysłów za darmo. – Wciąż utrzymuję grzeczny ton, ale marzę tylko o tym, żeby Louie już sobie poszedł.

– Dysleksja – odpowiada i kręci głową ze smutnym uśmiechem. – Mam bardzo silną dysleksję. Nie wiem, czy zwróciła pani na to uwagę w moich mailach. Trochę się krępowałem odpisywać po tym, jak poznałem pani nazwisko i zobaczyłem, że jest pani pisarką. Bałem się, że mnie pani wyśmiej.

– Nigdy w życiu. Mój ojciec był dyslektykiem, a zarazem naj-mądrzejszym człowiekiem, jakiego znałam.

Louie znów się rozpromienia.

– Cholernie ciężko żyć z czymś takim. To smutne, że pani mama musiała się z tym mierzyć.

Nie odpowiadam, bo przecież powiedziałam mu chwilę temu, że to był mój ojciec, a nie matka. Może ma jakieś problemy z pamięcią? Albo słuchem?

– Taki dyslektyczny żarcik – tłumaczy w końcu, puszczając do mnie oko.

– Aha. – Uśmiecham się. – Nie zrozumiałam.

– Żona mówi, że nadałbym się na aktora. Sama nią jest. Aktorką, znaczy. A w każdym razie kimś w tym rodzaju. Ciężko to wyjaśnić, ale gra w dokumentach. Czyli teoretycznie to aktorstwo. – Dalej papie o aktorskich sukcesach swojej żony czy też raczej ich braku, ale przestałam go słuchać, bo...

O cholera.

Okazuje się, że fasada budynku nie ma nic wspólnego z jego wnętrzem.

Jest ono dużo nowocześniejsze, niż podejrzewałam – proste linie, gładkie wykończenia, wszystko wprost z czasopisma wnętrzarskiego. Rustykarność okazała się fasadowa – w środku wszystko lśni.

Spodziewałam się skrzypiących drewnianych podłóg, zapachu starej sosny i kojącej woni zimnego kominka. Zamiast tego witają mnie lśniące powierzchnie, ostre światło i minimalistyczny wystrój miejskiego loftu: podłogi z polerowanego betonu, lśniące w świetle wpuszczonych w sufit lamp nadających wszystkiemu szpitalny blask. Ściany są sterylnie białe i wiszą na nich duże abstrakcyjne obrazy w drogich ramach, zbyt wymyślne i przekombinowane jak na to miejsce.

Tradycyjne domki mają swój urok. Można się w nich schronić, mając do dyspozycji jedynie trzaskający ogień i odgłosy dzikich zwierząt na zewnątrz. Przyjechałam tu z nadzieją na chropowate, nieheblowane ściany i poczuciem, że zaznam spokoju w ramionach matki natury, z dala od świata.

Ale to?

Mam wrażenie, jakbym trafiła do domu wypoczynkowego dla pracowników technologicznego start-upu. Na pewno nie do pisarskiej samotni.

Wzdycham i ciągnę walizkę do salonu, kółka turkocą zbyt głośno w tej pustej przestrzeni. Słyszę za sobą Louiego i niemal

mogę poczuć bijącą od niego dumę, gdy patrzy, jak reaguję na to, co widzę dookoła.

– Wygląda zupełnie inaczej niż w internecie – zauważam, odwracając się do niego.

– Właśnie skończyliśmy remont – wyjaśnia z dumą. – Jest pani pierwszym gościem, który trafił tu po nim. Jesteśmy z niego bardzo dumni, żona prawie wszystko sama wymyśliła. Ma dryg do takich rzeczy.

Ma to jakiś sens. I wyjaśnia kontrast między moim gospodarzem a tym miejscem.

Meble w salonie są sterylne. Czarna skórzana kanapa przypomina raczej eksponat na wystawie niż coś, w co można się zapaść i poczytać książkę. Szklany stolik odbija światło w zbyt wielu załamaniach, a krawędzie ma na tyle ostre, że w chwili nieuwagi można rozwalić sobie kolano.

Nawet kominek, po którym spodziewałam się rustykalnego ciepła, okazuje się elegancką nowoczesną instalacją gazową, ukrytą za szklaną fasadą. Migocze z mechaniczną precyzją, która natychmiast wzbudza tęsknotę za trzaskiem prawdziwego płonącego drewna.

Ale ze mnie rozkapryszona niewdzięcznica. Jak można się nie cieszyć z mieszkania w tak pięknym miejscu?

Tyle że... nie ma w nim żadnego uroku. Żadnej historii. To miejsce jest praktyczne, ale nie inspiruje. To raczej przestrzeń do wykonywania zadań, pracy, ale nie do tworzenia. Zależało mi na samotności, to prawda, ale chciałam też poczuć dzikość tego miejsca, surowe piękno lasu. Zamiast tego wylądowałam w luksusowym Airbnb, zbyt nieskazitelnym jak na mój bałaganiarski proces kreatywny.

Moja blokada pisarska jest tak paskudna, że wszystko za nią obwiniam. Nawet tak wspaniały dom.

Wzdycham. Może nie jest to taki azyl, na jaki liczyłam, ale biorąc pod uwagę paskudny nastrój, nie wiem, czy cokolwiek mogłoby liczyć na dobre przyjęcie z mojej strony.

– Bardzo ładnie – oferuję Louiemu przynajmniej strzępek reakcji, jakiej najpewniej oczekiwał.

– Powiem żonie, że się pani zakochała – mówi. – My tu blisko mieszkamy, kawałek tą drogą. Pewnie pani zauważyła. Pierwszy i jedyny oprócz tej chatki dom przy drodze – dodaje, patrząc na mnie tak, jakby spodziewał się, że zacznę wypytywać o szczegóły.

Kiwam głową, mając nadzieję, że to powstrzyma go od dalszych wyjaśnień.

– Wiem, że przyjechała pani pracować – dodaje – ale jakby nie była pani za bardzo zajęta, proszę wpaść do nas na obiad w tym tygodniu. Żona byłaby zachwycona, mogąc panią poznać. Mieszkamy tylko we dwoje i lubimy przyjmować gości, kiedy tylko możemy. – Uśmiecha się szeroko, a jego oczy znów błyszczą nadgorliwym blaskiem.

A może to desperacja?

Lub samotność?

Krzywię się, słysząc zaproszenie na obiad, ale maskuję to uśmiechem. Trudno mi wyobrazić sobie coś gorszego niż pogawędka przy stole z Louiem i jego żoną, która przeczytała jedną z moich książek i jest aktorką albo kimś w tym rodzaju. Nawet jeszcze jej nie poznałam, a już jestem tym zmęczona.

– Och, to bardzo miłe – odpowiadam z coraz bardziej wysiłonym uśmiechem. – Ale naprawdę mam sporo roboty. Dam znać esemesem, jeśli znajdę czas, dobrze?

Przez chwilę w jego oczach widzę cień rozczarowania, ale bierze się w garść i kiwa głową.

– Oczywiście, oczywiście. W końcu przyjechała pani tu pisać. Tak tylko pomyślałem, że jakby potrzebowała pani przerwy... – Cichnie i macha ręką. – Cóż, jak będę potrzebny, to znajdzie mnie pani kawałek stąd, tą drogą.

– Dzięki, będę o tym pamiętać – odpowiadam i ponownie kiwam głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

Znów macha niezręcznie dłonią i wychodzi. Zamykam za nim drzwi i opieram się o nie plecami, po czym przyglądam się niepokojąco nowoczesnej przestrzeni, którą mam przed sobą.

Dociera do mnie, że podwórko z widokiem na jezioro nie jest od zachodu.

Na tym etapie procesu twórczego zawsze wynajmuję dom z widokiem na zachód. Nic tak nie rozpala we mnie kreatywnego ognia jak zachód słońca. Niebo płonące odcieniami pomarańcza, różu i fioletu skłania mnie do pisania z pilnością, która jest równie ekscytująca, jak konieczna.

Tak to przynajmniej zwykle działa.

Tym razem jednak dokonałam rezerwacji na tyle późno, że musiałam się zadowolić podwórką z widokiem na wschód, i odczuwam tę różnicę każdą komórką swojego niepewnego, pozbawionego talentu jestestwa. Wschody słońca są zbyt ostre i wymagające, zbyt wczesne i zbyt wiele ode mnie oczekują. Z powodu ogromnych okien wychodzących na wschód będę ich doświadczać każdego ranka.

Być może będę mogła pisać w największej sypialni, czyli kolejnym pomieszczeniu, do którego zaglądam. Okno za łóżkiem wychodzi na zachód, ale gęste drzewa na pewno nie pozwalają ujrzeć zachodu słońca.

– O mało nie zapomniałem!

Szlag! Odwracam się, słysząc Louiego, i z trudem tłumię jęk. Stoję z ręką przyciśniętą do piersi i próbuję utrzymać gniew na wodzy, widząc, jak staje w drzwiach sypialni. Macha świstkiem papieru.

– Hasło do Wi-Fi i reszty. Zapomniałem też zostawić regulamin. – Kładzie kartkę na komodzie obok drzwi do sypialni. – Jak mówiłem, jest pani naszym pierwszym gościem od remontu, więc pewnie jeszcze o czymś zapomniałem. Jakby pojawiły się jakieś problemy albo coś nie działało, proszę dać znać...

– Dziękuję – przerywam mu ostrym tonem. – Już sobie poradzę.

Kiwa głową, ale wciąż szczerzy zęby w czymś, co u większości ludzi uchodziłoby za uśmiech, ale u niego to chyba podstawowy wyraz twarzy.

– Połamania nóg – mówi. – Czy czego tam się życzy pisarzom. – Rusza z powrotem w stronę wyjścia. – Połamania pióra? Klawiatury?

Zamykając za sobą drzwi, wciąż mamrocze kolejne wersje. Nienawidzę tego, że wie, kim i po co tu jestem. Mogłam nie robić tej rezerwacji ze służbowego maila, ale używam go od tak dawna, że zmiana na inny, bez imienia i nazwiska, wydawała mi się nadmiernym wysiłkiem.

Nie mogę się ukryć nawet przed facetem, który jest starszy od mojego ojca i mieszka pośrodku niczego. Nieważne, jak bardzo chciałabym uciec przed byciem Petrą Rose, jestem nią również tutaj. I tam. I, kurwa, wszędzie. Na okładce „People”, na stronach E! News i TMZ oraz w podcastach z dwoma tysiącami słuchaczy.

Przynajmniej starcza mi na rachunki. Jestem pewna, że wciąż robiłabym to samo, nawet gdyby moje pisanie nie zażarło tak, jak zażarło.

Mam przecież swoich obserwujących – powinnam to zmonetyzować i też zacząć wygadywać jakieś bzdury na własny temat. Pewnie zarobiłabym więcej, obrzucając siebie błotem, niż będąc sobą.

Zawsze bałam się utraty anonimowości. Ale nigdy nie wyobrażałam sobie, że dojdzie do tego na tak wielką skalę.

Zaczynając pisać, robiłam to dla czystej zabawy. Miałam taką potrzebę. To było coś, do czego mogłam uciec, kiedy życie stawało się zbyt chaotyczne. Ekscytowało mnie to, a ta ekscytacja udzielała się czytelnikom. Pisałam o wszystkim, na co miałam ochotę. Seksowni wojownicy MMA, obcy najeżdżający Ziemię, farmerzy zakochujący się w dziewczynach z miasta. Siemnaście książek później miałam wyrobione nazwisko, opłacone rachunki i udane życie. Dotarłam na szczyt.

Niestety grawitacja ściąga wszystkich. I możecie wierzyć, zaliczyłam solidny upadek. Jakby ktoś przeciął linki w moim spadochronie i wrzucił to do relacji na żywo.

To dlatego wpakowałam się w te tarapaty. Z dawno zawałonym terminem i opóźnionymi ratami za hipotekę. A co było wisienką na torcie?

Blokada twórcza.